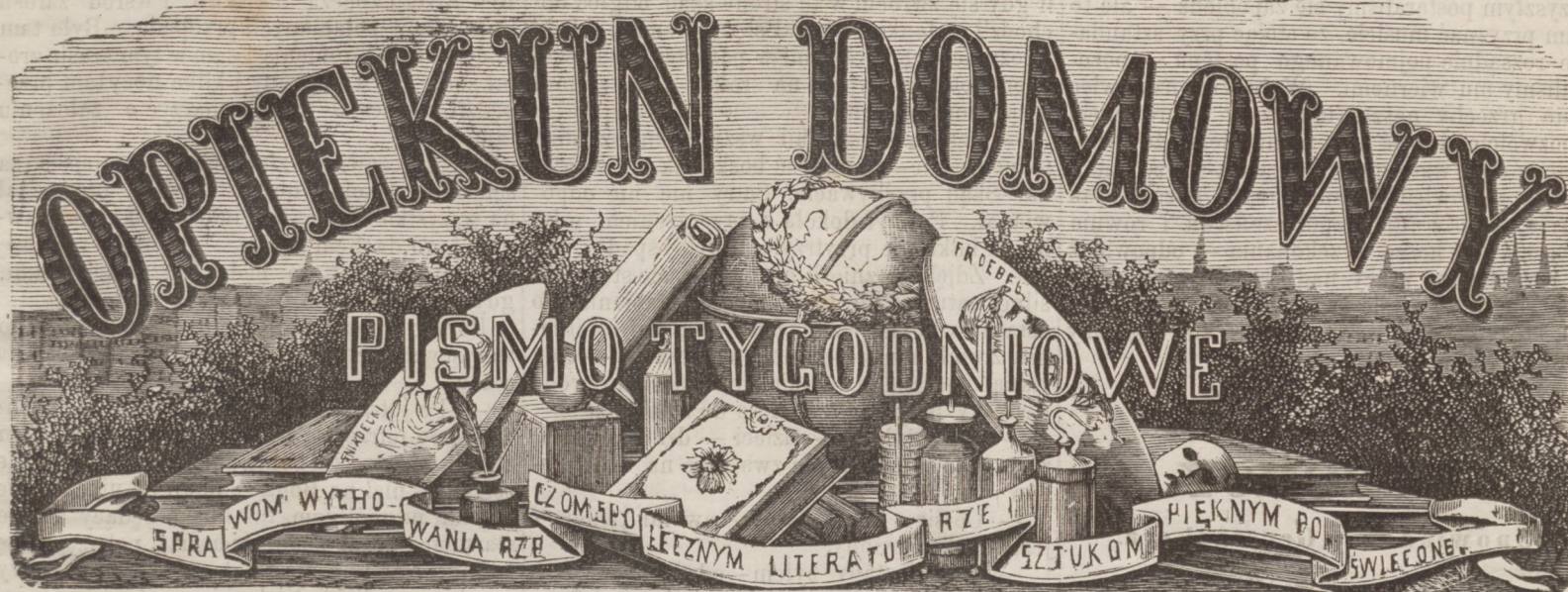




CENA PRENUMERATY

łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnośnieniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.
rocznie . . . rs. 3 k. 60	rocznie . . . rs. 5
półrocznie . . . 1 „ 80	półrocznie . . . 2 k. 50
kwartalnie . . . „ 90	w Austrii roczn. 9 guld.
miesięcznie . . . „ 30	w Prusach „ 5 talar.

REDAKCJA PRZY ULICY NOWY-SWIAT

NR. 30 NOWY.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środę

Skład Główny w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w Poznaniu w księgarni Leitgebnera i Spółki, we Lwowie u Wilda Karola; w Żytomierzu u Budkiewicza księgarza; w Krakowie w księgarni A. Nowoleckiego

NUMER POJEDYNCZY KOP. 10.

DO WIDZENIA!

Żegnając rok stary, musimy i was pożegnać, łaskawi czytelnicy nasi. Musimy wam podziękować za dowody współczucia, jakimi nas zaszczycaliście—przepraszając za wszelkie braki jakieście znaleść mogli w „Opiekunie.“

Znany wam jest już prospekt nasz na rok przyszły—wiecie zatem że z podwojoną energią myślimy zabrać się do pracy, że przede wszystkim, rozszerzając ramy pisma, chcemy je uczynić więcej zajmującym, więcej urozmaiconym—a tym samym zyskać wpływ na szersze koła czytelników. Ogniskiem naszej działalności pozostanie i nadal rodzina. Całą siłą strzedz będziemy świętych jej praw i budzić do życia uśpione uczucia, rozjaśniać przekonania. Że zaś taka działalność nasza, jest potrzebną, że znajduje odgłos w myślących umysłach, dowodem tego niezwykle powodzenie zapisów na rok przyszły, które z każdym dniem wzmagają się.

Byliśmy szczerzy i takimi też pozostać myślimy i nadal. Skarżyliśmy się przed wami, wtedy gdy liczne niepowodzenia finansowe, niepozwoliły nam rozwijać naszej działal-

ności, tak jakieśmy tego pragnęli—dziś zaś równie szczerze dzielimy się z wami radością dla nas nowiną powodzenia. Odtąd już nie będziemy mieli prawa tłumaczyć wad naszego pisma brakiem poparcia—możecie więc być więcej wymagającymi—a my ze swej strony mamy powód spodziewać się, że wymagań tych nie zawiedzimy.

W łonie naszego społeczeństwa istnieje już dość znaczna liczba nie tylko młodzieży, ale ojców i matek, którzy całą duszą uczuli potrzebę szerszego umysłowego życia, którzy wyrzekli się zasciankowych uprzedzeń, wierzą, że należy iść z postępem, że należy więcej dbać o ekonomiczne sprawy krajowe zarówno jak i o rozwój naukowych ulepszeń pedagogicznych. Z takimi tylko czytelnikami chcemy mieć do czynienia. O tych którzy całe swe wykształcenie zakładają na znajomości przedpokojowych romansów, pewnej umiejętności w dobieraniu strojów i w polemizowaniu z Bismarkiem—niedbamy wcale. Ci pisma naszego czytać nie będą, a jeśli je wezmą przypadkiem do ręki, to chyba dla tego, ażeby wyszykanować jakieś zdanie nierozumiejąc go i powtarzać za domorosłymi powagami narzekania na zgubny wpływ postępu na domowe enoty naszych ojców. Takich prosimy nawet ażeby nas wypuścili ze swej opieki. Czas owej niewłaściwej walki o byt jednostek, którą nazywano walką młodej i starej prasy, minął

bezwrotnie. Dziś młodsze owe siły ustaliły już swój wpływ na społeczeństwo—a zjednoczywszy się z poważnym zastępem starszych pracowników, przekonały ogół—że ten nie ma potrzeby obawiać się ich przekonań, że serca nasze jednym biją tętnem, i że jeżeli niektórzy z nas zbyt ryzykowną obrali drogę, to jednak większości tej młodzieży potępić się nie godzi—ponieważ pragnęła jak najlepiej. Wy łaskawi czytelnicy, poznaliście nas już bliżej z kilkoletniej pracy, i jeśli nie siły nasze to przynajmniej przekonania nasze znalazły wasze uznanie. Wypowiadaliśmy się śmiało, zarówno odnośnie do starszych jak i młodszych organów prasy—nie wahał się się nieraz silniej wystąpić przeciw próżniactwu przeciw ospałości i zacołaniu—ale wiecie dobrze, że każde prawdziwe przekonanie uszanować umieliśmy i że niewywłóczając prywatnych brudów, gwoździ ucieśze plotkarzy i plotkarek koteryjnych, potępialiśmy tylko wady ogólne, celem pobudzenia do lepszej i korzystniejszej dla narodu pracy, popierając wszystko, cokolwiek zdaniem naszym na poparcie zasługiwało.

Być może, że nieraz w gorliwości tej naszej zapominaliśmy, albo raczej dla braku środków musieliśmy zapominać o tym, że ogół naszych czytelników oprócz suchych rozumowań i rozbiórów, wymaga od pisma większego ożywienia treści, większej obfitości szczegółów ba-

ŚLADY ŻYCIA.

LII.

Tyle życia, ile... w czynie.

Minęła tedy gwiazdka i gwiazdkowe sprawy. Ileż to sere młodziutkich zabiło żywiej na widok gorejących (nieraz ze szkodą naszych lasów) choinek. Ileż to obok choinek znalazło się kolendowych podarków a między niemi ileż było książeczek! Otóż jeszcze o tych książeczkach. Z przyjemnością zauważyliśmy, drobny na pozór, lecz w gruncie rzeczy wiele obiecujący fakeik, że książeczek tak zwanych gwiazdkowych z każdym rokiem większa rozechodzi się ilość,—lecz też i to widocznym jest niemniej, że wszystko to prawie, dostaje się do rąk dzieci klas zamożniejszych. A dzieci rodziców uboższych co na to? Ha dzieciom takim wolno jedynie przypatrywać się—efektownej oprawie, uśmiechających się z poza wystaw księgarskich książeczkowych podarków i wolno wzdychać z żalem że czegoś podobnego mieć nie mogą. W rzeczy sa-

mej to smutne „nie mogą“ należałoby panom wydawcom książek dzieciennych, wzięść pod bliższą nieco uwagę. Książki o jakich mowa i bez oprawy są drogie i bardzo drogie, a cóż dopiero jeżeli cenę już wysoką podnosi jeszcze zbytkowa i na efekt obliczona oprawa. Niechby sobie z resztą część jakaś świeciła i wabiła wyłaczając okładką; lecz aby prawie cały doroczny ten pokarm dziecienny, miał być przesolony samemi okładkami, aby po wystawach nie można było zobaczyć innych jak tylko złotem kapiących książeczek, przeciwko temu zaoponowalibyśmy stanowczo. Dlaczegoż to zresztą obok zbytku, nie może choćby w tym jednym razie ulokować się skromność? Wiemy dobrze że w wydawnictwach gwiazdkowych gorąco po nad wszystkiemi interes czysto kupiecki, czyli że książeczka elegancko oprawna łatwiej podobać i łatwiej sprzedać się może; lecz czy czasowo na tym właśnie punkcie panowie wydawcy—kupy nie przeliczają się nieco? Nam się zdaje że im przystępniejsza cena danego towaru, tym i towar ten w większych nierównie rozechodzi się ilościach, a na czasie zyskuje się zwykle. W interesie więc zarówno panów gwiazdkowych wydawców, jak i mniej zamożnych nabywców leży aby książki w skromnej i o ile można najtańszej oprawie, więcej jak dotychczas wśród podarków

gwiazdkowych mogły być reprezentowane. Tym sposobem wilk zostanie syty i owca cała a światło żywiej i głębiej przeciskać się będzie chociaż raz tylko do roku.

* * *

Mamy przed sobą prospekt, anibyscie zgadli czytelnicy, czego. Oto mamy prospekt *czytelni publicznej w Kaliszu*. Jak tytuł mówi będzie to: „*Czytelnia nowości literackich i dzieł poważniejszej treści w połączeniu z czytelnią tanią*.“ Tak więc Kalisz mógłby służyć za przykład naszej Warszawie. Gdy bowiem tutaj jedyną dla abonentów książek, czytelniczą strawą są śmieci antykwaryjuszowskich sklepików, tam to już w Kaliszu mimo istnienia takichże samych paru czytelniczych kramików, przychodzi odrazu do skutku przedsięwzięcie, które jak sama treść prospektu objaśnia, na zgódnych z celami rzeczywistej oświaty, praw dziwie po obywatelsku obmyślanych, wspiera się podstawach. Czytelnia kaliska istnieć będzie pod firmą jej inicjatorów i założycieli:

S. Herberta Heybowicza i St. Gillera i S-ki. „Pragniemy, mówią założyciele nawet najuboższemu dać możliwość korzystania z dzieł kształcących umysł i serce za opłatą jak najniższą: dla ogółu zaś zamożniejszych

wiących i uczących — czemu właśnie w roku przyszedł postaraliśmy się zapobiedz — ale to nam przynależało, że stojąc przy sztandarze rozsądnego pojmowanego postępu — pozostaliśmy mu wierni. Wybacze nam więc inne grzechy nasze, ufajcie w dobre chęci i pozwólcie cieszyć się tą nadzieją, że wnosząc w dom wasz myśli i uczucia nasze znajdziemy odpowiedź bratnią równie gorącą, jak nasza miłość dla społeczeństwa i równie szczerą jak nasze przekonania — odpowiedź w czynach, w pracy nad wspólnym naszym dobrem. Z tą myślą żegnamy was w tym roku, który za chwilę przeminie, ale żegnamy serdecznym słowem: do widzenia!

POGROMCY.

Opowiadanie Gerstäckera.

(Ciąg dalszy).

W Bronswille zebrali się skwaterzy na naradę co mają dalej czynić. Było już dość późno, a Jenkinsa jeszcze nie było i nikt o nim nie mógł nie powiedzieć. Nawet Ashlej już nadszedł, był blady, zmęczony oczyma podsiadłymi. Gdy go banda napadła mówili że w Jones Baro i w tej okolicy, gdzie mieszkał były bardzo liczne ślady, a on przysięgał się że jeżeli choć jednego z nich spotka, to całe ich gniazdo spali i zniszczy do gruntu. Jednogłośnie wszyscy to pochwalili, lecz dotąd nie mieli pewności, tylko ślady podejrzanego miejscowości.

Niewiedzano nawet z pewnością czy to są ślady ich koni z tych zaś co napadli na Ashleja, ten nie przypominał sobie czy którego gdzie kiedy znał. Netleja między niemi nie było, i nie było tego co miał obcięte uszy.

— Nie zostawiliby mi przy życiu! odrzekł z zaciętymi zębami. Gdybym choć jednego z tych łotrów poznał, niepuściłbym go dopóki oddycham.

— Chłopczy! odezwał się Billins stojąc zamysłony, oparty na broni — ja wam coś powiem. Jenkins najgoręcej tę sprawę popierał, a że go niema, to mi się nie podoba, byli już raz u niego i obiecali mu powtórny wizytę, czy mu czasem nie splatali jakiego figla?

Tentent kopyt przerwał mu mowę. W chwili gdy się zwrócili w tę stronę skąd odgłos dochodził. Jenkins ukazał się na koniu, blady z rozrzuconymi włosami w podartej i pokrwawionej odzieży, wpadł na środek i wstrzymał rozpędzonego konia.

— Jenkins! zawołali wszyscy mieszkańcy jednogłośnie — na miłość boską jak on wygląda? Skąd przybył? Stry nie nie odpowiadał. Patrzył dokoła z przerażeniem, gdyby go kilku nie przytrzymało byłby spadł z konia. Zdjęli go z konia na ziemię, ale stary był silnej natury i nie łatwo ulegał osłabieniu. Po ustaniu szybkiej jazdy podtrzymującej osłabienie, zrobiło mu się ciemno w oczach. — Gdy stanął na ziemi, zanim przyniesiono wodę i whisky przyszedł zupełnie do siebie.

— Już mi dobrze — dzieci — dziękuję wam, za prędko jechałem nie zważając na ból pleców

— Co się z tobą działo? — zawołał Ashlej — jesteś pokrwawiony!

— Wychłostałem byłem — odrzekł stary zaciągając zęby — przez regulatorów! zaśmiał się z ironią. Lecz dajcie mi chłopcy kubek whisky! Zaczynają mi się migać w oczach gwiazdy i tęcze, chciałbym zjeść cokolwiek, bo od rana jestem naczecz.

— Regulatorzy? rozszedł się okrzyk między zebraniem i przekleństwa sypnęły się z ust obywateli. Tym więcej ich to gniewało że nie wiedzieli gdzie wróg ten się ukrywa, gdyż napadali jak złe duchy i bez śladu ginęli w lesie.

Jenkins pozwolił im się wygadać, pijąc whisky co mu dodało nowych sił i jedząc przyniesione mu potrawy, nie odpowiadał na pytania, prosząc o spokojność, na koniec skończył.

— Dajcie kołdrę wełnianą, zaczyna mi być zimno a te psy obdarli mnie ze wszystkiego.

Natychmiast przyniesiono czego żądał, obwinął się i usiadł na starej kłodzie, wszyscy nawet kobiety otoczyli go słuchając — a on wkrótce opowiedział im cały napad. — Nie opuścił, ani dodał, gdyż i to co się stało było okropne, i słuchaczy przyprowadziło do wściekłości. Ale gdzie? Teraz wyjawiał im odkrycie jakie tegoż rana zrobił, zwięźle, ale tak że nie można było wątpić o prawdzie.

To co opowiadał ile dotyczyło miejscowości dopełnił Ashlej, który zanim się tuszował zwiędził całe te zarośla, gdyż zamierzał poprzednio założyć tu stacyję dla statków parowych z Red Riveru. Znał całą miejscowość

i ową zatokę, która przedtem nim wpadnie do Red Riveru zbacza na lewo i wśród zarośli i pni drzew połamanych przepada. — Było tam miejsce do schronienia i sam w tym czasie zrobił sobie dach skórzany i kilka nocy tam spędził. Przestał jednak marzyć o założeniu tam osady.

Czy rzeczywiście złoczyńcy to miejsce za schronienie sobie obrali? Ashlej przysięgał na wszystko że nigdzie indziej tylko pod dachem jego dachem siedzą, — a jeżeli tam się znajdują — dodał, to będą naszymi jeńcami, gdy im drogę od strony rzeki odetniemy.

Border wniósł projekt aby nazajutrz rano wszyscy się zebrali, a po jutrze przystąpili do ataku.

— Po jutrze! — zakrzyknął Jenkins — myślicie że po jutrze będzie tam jeszcze choć jeden z tych łotrów, i ani konia ani lekarstwa nam nie zostawia, nie! na Boga — nie! tak nikczemnie napadli na mój dom, tak blisko będący i moję starą biedną tak sponiewierał!... pokazuje się że im nie na tym nie zależy — czy to wrzawy narobi w okolicy! Nie! ani po jutrze, ani jutro ale dziś wieczorem, zaraz... musimy ruszyć na nich ażeby nam nie uszli.

— Do wszystkich djabłów! śmiejąc odezwał się Border — wygląda to na wet za wet — ale sądzę że Jenkins ma słuszość, — i tym regulatorom pokażmy że nie długo bezkarnie postępować mogą.

— Regulatorzy! krzyknął Ashlej — czy możemy pozwolić żeby te łotry uczciwą nazwę regulatorów kalali? dla tego że przed tym imieniem ze stanów uciekli. Na Boga! żaden uczciwy człowiek przy tych hultajach nie może nosić tego imienia.

— Nazwijmy się inaczej, odpowiedział Jenkins.

— Nazwijmy się pogromcami i utworzymy związek, — bądźcie pewni że skoro zaczniemy działać w krótko to imię pogromców stanie się w Teksas tak groźnym jak w Arkauzas regulatorów.

— Dobrze! Jenkinsie, odezwał się Ashlej. obejmijcie zatem dowództwo nad tym związkiem, ja będę przy waszym boku, zdaje mi się że my dwaj najstarsi ze zgromadzenia, a przy tym oba mamy rachunki z tymi panami. Kiedy więc zaczniemy?

— Teraz zaraz! odpowiedział stary zrywając się ze swego miejsca — każda minuta może nam wyrwać zdobycz z ręki.

za umiarkowaną roczną lub miesięczną opłatą tego wszystkiego, co nam zdobyły w ostatnim czasie na polu nauki, literatury i sztuki najświetlejsze umysły ucywilizowanych narodów. Nie będziemy, mówi dalej prospekt, uwzględnić żadnego specjalnego odcienia prac literackich lub popularno-naukowych z uszczerbkiem innych odcieni, odrzucając jedynie stanowczo te szkodliwe utwory rozszerzenia których mogłoby wpłynąć na skażenie obyczajów i moralności ogółu. Tym sposobem skład naszej czytelnicy będzie wchodziło to wszystko co w chwili bieżącej zajmować może czytającą publiczność: najnowsze wyniki badań filozoficznych prace historyczne, dzieła kwestyj społecznych dotyczące, prace ekonomiczne studia z dziedziny przyrodznawstwa, sprawozdania statystyczne, podróże i opisy najrozmaitszych krajów a również beletrystyka w najdoskonalszych jej utworach. „Już z tego pokrótce streszczonego programu widzimy że sz. założyciele czytelnicy rozumieją jasno zadanie i posłannictwo tego rodzaju instytucji i z prawe przedsięwzięcie ich zasługuje wszędzie na obowiązku, na jak najsilniejsze ze strony miejscowej publiczności poparcie.

Dodać tu wreszcie winniśmy iż główną dostawicielką książek do czytelnicy kaliskiej będzie warszawska spółka kolportacyjna — której

agenturę w Kaliszu reprezentuje jeden właśnie z założycieli czytelnicy p. Heybowicz w którego ślady co do rozwijania owej księgarskiej działalności sposobem zakładania mniejszych czytelnicy i innym agentom spółki kolportacyjnej bez namysłu należałoby wstąpić.

Czytelnia mieścić się będzie w kantorze spółki kolportacyjnej i otwartą zostaje z dniem 1 Stycznia 1875 r. Cała przedpłata na dzieła polskie wynosi rocznie rs. 5 półrocznie rs. 3 miesięcznie kop. 60 i jednorazowe tytułem kaucyi rs. 2. Pragnący korzystać z oddziału naszego nazw. „Czytelnia, taniej“ nie są obowiązani do składania przedpłaty lub zastawu piśmiennego i otrzymują po jednym tomie za opłatą dwu groszy oraz za poręczeniem osoby znanej zarządowi czytelnicy. I warunki więc, jak widzimy dla abonamentów przystępne. Zamożni i ubożsi wykształceni i ubodzy duchem wszyscy słowem, śpiżarnią duchowego pokarmu, moja otwartą, i pełną dłonią korzystać z niej mogą! Oby więc Kaliszanie na tyle ważnym i tyle płodnym następstw obiecującym przedsięwzięciu poznali się i jak najszerszego, tu ze swej strony poparcia nie zechcieli odmówić!

* * *

Zakład rękodzielniczy dla kobiet, istniejący w Warszawie, przy Zielonym Placu w domu Hr. Zamojskiego Nr. 10 nadesłał nam sprawozdanie z działalności swojej w ciągu 1874 r.

Ze sprawozdania tego podajemy niektóre główne wyjątki, w przekonaniu że rzecz ta nie jedną z czytelnicek naszych interesuje:

Zakład Rękodzielniczy dla Kobiet zatwierdzony przez Rząd, jako Szkoła Rzemiosł dla przychodnich kobiet, chcących wykształcić się w danym rzemiośle, — otwartym jest od 20 Listopada 1874 r.

Nauki odbywają się, według przyjętych programów, od godziny 9-tej rano do 8-mej wieczór i podzielone są na tak zwane komplety, w których wykład i praktyka rozpoczynają się w miarę zebrania się pewnej liczby uczennic. Każde rzemiosło zajmuje dwie godziny dziennie (tygodniowo godzin 12). Okres czasu dla każdego z wykładanych rzemiosł oraz opłata za naukę, są następujące:

	Miesięcy.	Opłata.
Nauka Introligatorstwa (galanteria)	3	20 rs.
" Kroju Sukien (oprawa książek)	3	20 rs.
" Kroju i szycia bielizny	2	15 rs.
" Kwiatów sztucznych	2	12 rs.
" Kroju i szycia rękawiczek	6	40 rs.
" Szewstwa damskiego i dziecięcego	6	45 rs.
" Drzeworytnictwa (dla umię. rys.)	5	40 rs.
" Rachankowości i Buchalterii	5	40 rs.

— Ale wyście poranieni, odezwała się Borderowa, gdyż wszystkie kobiety z osady otaczały starego, — nie puszcze cię przód Jenkin-sie dopóki ran waszych nie opatrzymy.

— Co tam pani! odparł wytrwały starzec, jeszcze tyle wytrzymam żeby tych psów poskromić — a potem będzie dość czasu opatrzyć stare kości.

— A jeżeli podczas drogi siły was opuszczą, odezwał się Border, stacimy dowódcę gdyż musimy z 2-u stron napadać. Ashlej zaś może tylko jedną dowodzić.

Stary bronił się jeszcze, lecz został przegłosowany i rzeczywiście koniecznie należało rany opatrzyć, gdyż niewiadome były niebezpieczeństwa, na jakie się narazić mieli. Tylko żelazna budowa tego człowieka mogła wytrzymać takie męczarnie, w chwili gdy krew przyschnięta do koszuli obmyto, a rany wódką smarowano zbladł i leżał nieprzytomny. — Lecz to omdlenie przeszło — prędko wrócił do siebie, wypił od razu ciepłej whisky, pozwolił rany obwiązać nałożył bieliznę i prosił zaraz o broń i torbę.

Torby nie mógł zawiesić gdyż cisnął go ramię, przywiązał ją więc do bioder i dotąd na chwilę nie uspokoił się, aż przysposobił wszystkich do drogi. Pościel dla żony, gdyż regulatorowie ją zabrali, — Borderowa przygotowała, i gdy słońce za szczyty drzew się kryło, orszak pogromców wyruszał w pochód żeby pomścić się na regulatorach.

Żaden nie pozostał w Brownville — nawet murzynów Border uzbroidł, a Jenkins zrobiwszy przegląd ogólny znalazł 21 zbrojnych i wiedział że podwójnie przewyższają złoczyńców.

Przy napadzie na dom było ich 9-ciu, można było przypuszczać że byli wszyscy. — Pogromcy udali się w stronę domu Jenkinsa a stamtąd tak plan ułożyli że o wschodzie słońca każdy oddział zajmie swestanowisko i będą mogli atak przypuścić. Tym sposobem mogli być pewni że im złoczyńcy nie ujdą.

Była już północ, gdy przybyli do domu Jenkinsa: zgroza ich przejęła na widok straszniego spustoszenia. Tylko Jenkins był spokojny myśląc o zemście...

Dom Nettleja który go osmagał, miał być w pobliżu zarosły trzciną, przedwzrostkiem więc należało go im obejrzeć. Ashlej podjął się tego, stąd prowadziła go ścieżka do gęstwiny którą znał doskonale. Jeżeli to miejsce

dobrze będzie obsadzone to złoczyńcy tędy nie będą mogli się przedostać.

Biling objął dowództwo nad łodzią z 6-ciu ludźmi, do pomocy miał Jo'ego z murzynami. Stary murzyn Joe'go w razie potrzeby mógł być sternikiem, a żeby oznaczyć zatokę przy której niegdyś jego pan chciał zamieszkać. W razie jeżeli złoczyńcy mają łodzie mogliby uciekać tamtą stroną, a w takim razie można by ich wystrzelać. Sam Jenkins dowodził małym oddziałem w miejscu, gdzie poprzednio robił odkrycia to jest od wschodu, Ashlej zaś miał postępować od strony zachodniej. Biling miał najdłuższą drogę i musiał już rano o 2-iej godzinie pochód rozpocząć. Ashlej miał w godzinę później a Jenkins prawie jednocześnie z nim wyruszyć w stronę zatoki. Jenkinsi Ashlej oddalili się prawie na 1½ angielskich mil od siebie i postępując naprzód spokojnie i pociechu mieli dojść na odległość wystrzału, który miał oznaczyć tym samym miejsce pobojuwiska.

Ułożywszy ten planik na prędce mogli być pewni że przynajmniej część złoczyńców dostanie się im w ręce, a ci którym się udałoby uciec, zapewne więcej by już do Teksasu nie zawitali.

Pochód.

Po naradzie wojennej, gdy rozniciwszy ogień gotowali zapasy i kawę, nadszedł czas wymarszu. Biling zebrał swych ludzi, pożegnał się z Jenkinsem i Ashlejem i gotował się w drogę.

— Pamiętajże Biling! odezwał się stary, żebyśmy tych łotrów żywcem dostali, oszczędzajcie ołowiu, gdyż na nich szkoda kuli.

— Nie bójcie się Jenkinsie, odezwał się ponuro Biling w ostateczności dopiero będziemy strzelać — mnie samemu wiele na tym zależy, żeby tych łotrów popowieszać. — A teraz chodźcie koledzy, mamy jeszcze daleko do miejsca oznaczonego.

Siedm czarnych postaci zniknęło w lesie, gdy Ashlej zbierał swój oddział, aby podążyć do domu Nettleja. Oni także byli konno, w celu przedszego przebycia drogi.

Jenkins otrzymał 6 ludzi i Sipa, resztę zabrał Ashlej, Sip zaś dla braku broni miał nóż i buławę, było ich razem 8-iu, konie zostawili w domu Jenkinsa gdyż mieli tylko 1½ mili ang. do zatoki, dalszą zaś drogę konno trudno byłoby przebyć. Jenkins mógłby je-

szcze z godzinę pozostać, lecz się niecierpliwił. Cierpienia fizyczne któreby kogo innego osłabiły, jemu przypomniały zemstę, a stąd nie mógł spokojnie oczekiwać chwili napadu na złoczyńców i pomszczenia swej krzywdy. I jego towarzysze również pragnęli zemsty i przed wschodem słońca Biling przybył do fermy Joe'go. Gdy spostrzegli domy, cały oddział wstrzymał konie. Przez wodę z końmi nie podobna było się przedostać zostawili więc je na łące. Prędko i pociechu wydano rozkazy, gdyż prawdziwy strzelec nigdy w lesie nie chałasuje. Siodła i czapraki z uździami złożyli pod drzewem, a sami ruszyli pieszo aby porozumieć się z Joe'm i wziąć od niego łodzi.

W domu wszyscy spali. Światła nie było nigdzie, nawet na kominie, lecz na brzegu rzeki, co o kilkadziesiąt kroków płynęła, posłyszeli głosy; Biling zaczął się wsłuchiwać, gdyż dochodziła ich jakaś sprzeczka dwu ludzi. Chwilę słuchał, a następnie rzekł:

Tam są jacyś ludzie na Boga! co to ma znaczyć?

Woda była dość głęboka gdyż śniegi stopniały na górach lecz brzegi były strome, aby można było rozpoznać gdzie były czołna. Odgłos dawał się słyszeć nad wodą, a mały oddział pogromców przybliżył się w milczeniu do przystani.

— To stary murzyn Nero, odezwał się, Biling bo znał ten głos dobrze.

— Massa ma klucze od łodzi muszę go najprzód obudzić, jeżeli chcecie wziąć łódź koniecznie, teraz jeszcze noc, Massa będzie mię łajac.

— Ależ powiedziałem ci barania głowo! odezwał się jakiś człowiek, chcemy tylko dostać naszą łódź, z tamtej strony rzeki, a w pół godziny będzie miał swoją na powrót.

— Nierób że trudności Bobi, odezwał się doń drugi, oderwij łańcuch. — Czas upływa a nie możemy tu z tym murzynem całą noc się spierać.

— To są regulatorzy, pewno chcą łódź ukrąść, odezwał się jakiś głos z oddziału Bilinga.

— Dwu w prawo dwu na lewo, zakomenderował Biling prędko! żebyśmy ich wzięli wrodek, gdyż jak zobaczą nas, uciekną i alarm zrobią.

Uczennice, po skończeniu nauki każdego z tych przedmiotów, odbywają egzamen w Zakładzie i otrzymują odpowiednie świadectwa uzdolnienia. Opłata za naukę może być wnoszoną miesięcznie.

Oprócz wymienionych rzemiosł, Zakład ma przyjętych nauczycieli i jest w możności otwarcia kursu: Drukarstwa, Fryzyjerstwa, Nauki rysunku zastosowanego do rzemiosł, Fotografii, Retuszery i Heljominiatur, Wyrzynania piłką à jour, Szydełstwa, Zegarmistrzostwa, Jubilerstwa, Pieczętarstwa, Litografii, Szcotkarstwa, Polerowania metali i Tokarstwa.

Każda z uczennic przy zapisie na którykolwiek z otwartych już kursów rzemiosł, tegoż samego dnia może rozpocząć naukę, do której potrzebne narzędzia i materiały dostarcza Zakład bezpłatnie. Obok tego, każda z uczennic, dla praktyki w domu, musi zaopatrzyć się chociażby w niektóre z narzędzi używanych w obranym przez nią rzemiośle. Te zaś z uczennic które życzą sobie zabierać wyroby na własność, obowiązane są dostarczać niektóre materiały.

Dla osób z prowincyi Zakład ma do wynajęcia odpowiednie mieszkania na mieście ze stołem, usługą etc., lub bez takowych, stosownie do umowy.

W ciągu roku 1874 pobierało naukę w Zakładzie 186 uczennic. Główny i prawie wyłączny kontyngens tych ostatnich składał się z klasy średniej. W ogólnej liczbie znajdowało się: 108 uczennic miejscowych, 49 z gubernii Królestwa, 27 z Cesarstwa (Litwy, Wołynia, Ukrainy) i 2 z Pruss. W ogóle było panien 144, mężatek 29, wdów 13. Podług stanu, panien — córek:

Obywateli ziemskich . . .	53	żon obywateli miejskich . . .	2
Obywateli miejskich . . .	14	„ urzędników . . .	15
Doktorów i profesor. . .	12	„ kupców . . .	8
Urzędników . . .	47	„ oficyalistów . . .	1
Kupców i fabryk. . .	9	wdów po obywat. ziem. . .	1
Oficyalistów . . .	9	„ po dok. medycyn. . .	1
Żon obyw. ziemsk. . .	3	„ po urzędnikach . . .	11

Z ogólnej cyfry 186 ukończyło całkowity kurs 79, z otrzymaniem świadectwa uzdolnienia; pozostało 107, z których, 71 opuściło Zakład, przed złożeniem egzaminu, a 36 pobiera jeszcze naukę. W tej liczbie uczęszczało na kurs:

Kroju Sukien . . .	85	uczenic.	Ukończyło 60	nieuko.	25
Kwiaciarstwa . . .	26	„	„	3	23
Introligat. gala. . .	20	„	„	5	15
Rękawicznictwa . . .	15	„	„	8	7
Buchalterji . . .	23	„	„	3	20

Na nierozpoczęte, z powodu małej liczby zgłaszających się uczennic, rzemiosła, jako to: „krój bielizny“ było wpisanych 5, na „szewstwo“ 2, „drzeworytnictwo“ 1, fryzyjerstwo“ 1, „retuszery i heljominiatury“ 1.

W ogólnej cyfry 186 uczennic, było tylko 8 Izraelitek (na buchalterji 5, na kroju sukien 3); zdaje się więc, że pomiędzy Izraelskimi kobietami u nas nie rozpowszechniło się jeszcze zamiłowanie do pracy w innym, aniżeli handlowym kierunku.

Jako Przewodniczący w Zakładzie podpisał się p. Edward R. Łojko. Jako Nadzorczyńi, Aleksandra Hirschberg.

ODPOWIEDZI od Redakcyi.

Pani Maryi Leszczewskiej w Częstocicach. Brakujące stronic w powieści „Pieniądz i Praca“ odesłamy, numery bieżące Opiekuna regularnie wysyłamy. Podzielamy uajzupełniej przekonanie Szanownej Pani co do przykrości jaką sprawia czytelnikowi, gdy odbiera dodatki w których to początkowych, to środkowych to ostatnich stronic brakuje. Zdajemy zawsze wszystko ekspedycy gazet w największym porządku, ale w czasie podróży tak się jakoś różnie z tym dzieje że reklamacyje często nas dochodzą.

P. Bojomirowi Staniew. w Rossienach — Posyłamy żadaną książkę, cena jej z przesyłką oznaczona w dołączonym rachunku Księgarskim.

Jak cienie rozbiegli się strzelcy na prawo i na lewo i z trzech stron zaskoczyli tak że tych trzech okrzyki.

— Hala! co się to tu dzieje?

— Law dmussy! zawołał stary murzyn przestraszony.

— Nic, gemmen chcą zabrać moje łódkę

— Kto jesteście i gdzie chcecie płynąć na tej łodzi! zawołał Billing wskakując do łodzi.

— Czy to wasza łódź? odezwał się jeden z nich.

— Ja ci coś powiem kolego—odparł Billing, wejdź no na ląd, gdyż chcielibyśmy bliżej cię poznać. A przy najmniejszym poruszeniu do ucieczki bądź pewny że ci kulą głowę przesyję.

— Czego od nas chcecie? jesteście spokojni osadnicy, odezwał się inny, i mieszkamy po drugiej stronie.

— Dobrze! jeżeli to prawda! nie macie się czego obawiać, odezwał się Billing, ale z tej odległości nie możemy was poznać, zatem chodźcie na ląd. Prędko! nie umiem żartować, palec trzymam na cynglu.

Jego towarzysze obłąkali łódkę, ucieczka była nie możliwa, mogliby tylko płynąć nurkiem wydostać się, ale nie mieli do tego ochoty.— Nie im więc nie zostało, jak być posłusznymi rozkazowi, gdyż nawet nie mieli broni. Mrucząc i przeklinając pocichu zbliżyli się.

— Cóż to znaczy panowie, że spokojnych ludzi napadacie?

— Zaraz się o tym przekonacie, ozwał się Billing, który stojąc z bronią do strzału, cofnął się w tył kilka kroków ażeby im miejsce zrobić. Najprzód jesteście naszymi jeńcami, i nie róbcie chałasu, gdyż tego nie chcemy, i nie będziemy robić żadnych ceremonij.

— Waszemi jeńcami, a to dla czego?

— „Stewen i Browny, macie pewno postronki! zawołał Billings, nie odpowiadając pierwszym, zwiążcie im ręce — jeżeli się będą opierać, macie na to kule.“

— „O massa Billings“ odezwał się murzyn, który go poznał—jak to dobrze że tu przyszedłcie, ci źli ludzie chcieli biednemu Nero łódzie zabrać.

— Nie wezmą ci Nero, odezwał się Billings spokojnie.

— Nie myślcie żebyśmy z wami żartowali i jeżeli dobrowolnie nie wyciągnięcie rąk do związania, dam ognia—raz dwa...

— Musicie się usprawiedliwić, panie, że tak postępujecie ze spokojnymi ludźmi, odezwał się jeden z nich wyciągając ręce, gdyż ujrzał bardzo blisko głowy łufę, opór przeciw 7 uzbrojonym i ucieczka były nie pewne.

Możecie być spokojni! odezwał się Billings. Dobrze—związać ich lepiej. Jeżeli należycie do bandy, której poszukujemy, nie potrzebujecie długo czekać na objaśnienie, prędzej to nastąpi, niż się spodziewacie.

— Do bandy? odezwał się jeden z nich, cóż to za banda?

— Dobrze, wszystko to potym, teraz już dłużej nie mogę z wami rozprawiać! Zaprowadźcie ich do domu, przykró mi że tak wczesnie muszę zbudzić Joe'go, ale cóż robić. Joe już nie spał, usłyszał w łóżku dość głośną rozmowę wstał więc i zbliżył się żeby zobaczyć co się dzieje?

Billings, wziął go na stronę i w krótkich wyrazach opowiedział mu całe zdarzenie. Nie namyślając się przyłączył się do nich, gdyż nie chciał zostać na straży jeńców, ale gdy młody przybysz z za lasu wytłomaczył mu konieczność pilnowania jeńców, aby nie uciekli i nie zaalarmowali innych—pozostał. Lecz dał 4 murzynów swoich a Nero miał być sternikiem. Łódzie tak zwane „pirogi“ (piroquen) z jednolitego drzewa cyprysowego, doskonale nadającego się do budowy lekko poniosły tych

10-u ludzi. Murzyni umieli dzielnie wiosłować i Billings był przekonany że na tych statkach spełni swe zadanie. Jeżeli i przyjaciółom ich w lesie również się powiedzie, złoczyńcy będą zgubieni. Chciał się dowiedzieć o liczbie tych łotrów, lecz było to napróżno, gdyż jeńcy wypierali się że nie wiedzą o tych co się kryją w trzcinie, i utrzymywali że są spokojnymi osadnikami z za rzeki.

Nie mogli nic więcej od nich się dowiedzieć chociaż w mocne podejrzenie wprowadzili się przez niedokładne odpowiedzi, bo Joe znając każdy kąt z tamtej strony rzeki pytaniami nabawił ich kłopotu, tak że poczuli się przyznawać iż dopiero od 3-h dni sprowadzili się w tamte strony.

— Wszystko to było dostatecznym iżby upewnić się w podejrzeniu że należą do bandy. Joe obiecał pilnować ich aż się wszystko skończy i zaręczył że żaden przez ten czas nie ucieknie. Po wypiciu kawy którą żona Joe'go podała ruszyli w dalszą drogę.

Już ptaki zaczęły śpiewać w lesie, co zapowiadało bliski wschód słońca, a na wschodzie nad wierzchołkami drzew ukazały się pierwsze braski dnia. Według zapowiedzi starego Nero niepotrzebowali więcej nad kwadrans na przybycie do miejsca, gdzie dwie odnogi wypływają. Przy górnej ulicy dom Netleya przy dolnej zaś Jenkins znalazł ślady, a pomiędzy nimi według opowiadania Nero miała stać chata w której prawdopodobnie tak zwani regulatory się gnieźdźdźli. Tuż nad górną zatoką był mały przylądek przy nim więc spoczęli i swobodnie mogli przejrzeć całą okolicę.

Ashlej jednocześnie prawie dosięgnął celu i dom Netleya po cichu otoczył, lecz nawet ptaka tam nie było, i wcałym domu ani śladu żeby tu kto zamieszkiwał.

Nie tak cierpliwie stary Jenkins oczekiwał starcia, zdawało mu się że ziemia pali mu się pod nogami. Jeszcze było dość ciemno, gdy przybył ze swemi do zatoki, a że stąd już trzcina się zaczynała, musieli więc krok za krokiem torować sobie drogę, która niebezpieczną była dla oczu, gdyż dokoła sterczały gałęzie.

Tak postępowali do miejsca oznaczonego—gdzie zatoka płynęła.

Tu już niepotrzebowali przyspieszać pochodu, bo dosięgnęli celu, mogliby tylko zepsuć plan poprzednio ułożony. Musieli przeto spocząć nie rozkładając ognia gdyż niemogli być pewni, w jakiej bliskości Shautilac leżało, — a wiatr powstający o wschodzie poruszał zarosła trzciny. Nie wymówiono ani słowa, szepotali tylko z cicha i każdy obwiązał się w kołdrę, które mieli zwinięte na plecach, i tak oczekiwali ranku.

Nigdy jeszcze godziny nie wydały im się tak długimi, jak te beczynnie spędzone a zimny wiatr przeciągał po lesie! Stary Jenkins był jak w febrze i z zamkniętymi oczami snuł krwawe obrazy. Lecz przekonanie że wkrótce będzie mógł pomścić się na tych co tak sponiewierali mu żonę i jego samego ani na chwilę nie dopuszczało osłabienia. Zaciśnął zęby z gniewem licząc podług pulsu sekundy które go dzieliły od zemsty. Nagle powstał nasłuchując, ptak odezwał się w zarosłach. Trzcina i drzewo zasłaniały widok, lecz nie były tak gęste aby nie rozróżnić wschodzącego słońca. Rozwidniało się, mogli się więc spodziewać że niezadługo utworzą sobie drogę, co ich doprowadzi do celu.

Z cicha i ostrożnie stary pobudził ludzi, a ci przetrząsali oczy również pocichu zawiązali kołdry, aby im nie zawadzały w pochodzie. Na wschodzie było coraz widniej oddział obejrzał broń, dla pewności strzałów.

Jenkins trafił na oznaczone miejsce, ledwo 10 kroków przed nimi płynął strumień, który wczoraj rano spostrzegł—nie było ani chwili

do stracenia bo musieli przejść pewną przestrzeń. Jenkins podniósł rękę — z łufą na przód aby być gotowym do strzału i tak posuwali się pośród trzciny.

Z kwadrans tak postępowali gdy nagle Jenkins się zatrzymał spostrzegłszy ślad pod nogami, idący ku rzece, znać tu było że tedy konie prowadzono. Za którym pójść? bo niemógł już dzielić swego małego oddziału, mogliby w takim razie zginać, gdyby spotkali silniejszego wroga. Już chciał się zwrócić do swego towarzysza, gdy w tym ułyszał łamanie się trzciny, jak gdyby ktoś się przesuwał. Czyby to zwierz jaki zbudzony? czy który z wrogów? Mimowolnie stary bron podniósł i złożył się. Ha! — spostrzegł jakąś ciemną postać skradającą się w gęstwinie ku nim—na znak uwagi podniósł lewą rękę—wszyscy słyszeli szelest lecz nikt się nie ruszył stali jak skamieniali, postać powoli się zbliżała.

Jeszcze dzień nie był zupełny; wschód słońca ukazywał się na koryzoncie, w lesie było jeszcze ciemno, chociaż przedmioty można już rozpoznać. Strzelcy mogli dobrze widzieć cel u fuzyi, postać nie przedstawiała zbliżających się nieprzyjaciół. Teraz zbliżyła się o 10 kroków gdy wtym Jenkins nagle z zadziwieniem lecz przytłumionym głosem zawołał: „Nelly!“ Uciekająca postać zatrzymała się i przestraszyła—chwilę się wahała, lecz gdy poznała swego pana przybiegła z okrzykiem radości i upadła mu do nóg.

Jakże wyglądała ta nieszczęśliwa istota! Twarz wybladła, ubiór podarty zaledwie się na niej trzymał—cała drżąca, jak gdyby ją ścigano. Na pytania Jenkinsa oprzytomniała: „Gdzie oni są? zapytał ją z cicha.

— „Tam“ odpowiedziała wskazując ręką.

— Czy daleko?

— Niedaleko, zaraz tuż nad rzeką

— Ilu?

— Jedenastu, a dwu z nich do Joe'go posłali po łódzie, lecz dotąd nie wrócili.

— Czy nie mają łodzi na wodzie?

— Nie widziałam, ale mają prom do przewożenia wody, na nim 5-u murzynów, się znajduje chcą przepłynąć i oczekują tylko na łódzie.

— Lecz w zatoce nie ma łodzi?

— Jest ale tak mała że tylko 2 ludzi może pomieścić.

Jenkins spojrzał po swoich, co otoczyli go gdy z nią rozmawiał, podniósł rękę żeby zauważyć kierunek wiatru; wiał od wschodu ku rzece.

— Rozpalić ogień, nie traćmy czasu!

Dwu dobyło stal i hubkę.

Reszta niech zbierze trzcinę jeżeli roznieciemy ogień to płomień podaży w tamtą stronę.

— Alew takim razie Ashleja odepchniemy z tamtej drogi, odezwał się jeden z oddziału.

— „Tak prędko nie rozejdzie się“ odparł Jenkins. Ashlej przejdzie tę drogę i będzie mógł przejść między ogniem a zatoką, czy zapalone już?

— Sipi rozniecił pierwszy ogień i w oka mgnieniu z suchych liści wznosił się duży płomień w górę.

— Tak, tam, wiatr pomyślny wieje, jeżeli ogień swobodnie się będzie szerzył, to tedy im przejść będzie nie podobna, drugą zaś stronę wyjdą na wasze strzały.

Nie trzeba było więcej rozkazów, w jednej chwili pojęli plan dowódcy, ogień wśród traw, suchej trzciny i liści rozchodził się gwałtownie, każdy zrobił pochodnię z trzciny i podpalał nią dalej, tak że w 10 minut przestrzeń cała była zajęta płomieniem i z szaloną szybkością ogień zbliżał się ku rzece. W oczach Jenkinsa dzika radość błyszczała widząc zniszczone swe nadzieje, nie zatrzymywał się tu dłużej.

— Pójdiesz po nad wodą odezwał się do Nelly i ukryj się w gęstwinie dopóki cię nie przywołamy, wy zaś chłopcy za mną!

Napad.

Jan Jenkins miał lat sześćdziesiąt cztery, ale żaden z młodych towarzyszy nie mógł mu dorównać tak szybko dążył naprzód, chcąc w walce z młodzieńczym zapalem chciał pomścić swą krzywdę.

Pozostałe dwa oddziały nie spóźniały się ze spełnieniem swego zadania. Billings na swych 2 statkach z brzegiem rzeki płynął aby opanować zatokę przy ujściu, aby rekognoskować wrogów, chciał przez zarośla przesunąć statki na drugą stronę żeby wygodniej obserwować.

Rozwidniało się zupełnie. Ptastwo zbudzone ze snu i dzikie gęsi łańcuchem ciągnęły nad rzeką. Obłoki straciły swój kolor różowy, słońce już się pokazywało, lecz z tamtej strony nad zatoką wznosiły się wielkie kłęby dymu—gdyż coraz bardziej się szerzył—to zarośla trzcinowe się paliły. Czyby to Jenkins zrobił? czy banda regulatorów las zapaliła żeby osłonić swą ucieczkę dymem? lecz nie wiele mu czasu zostało do rozmyślenia, bo w tej samej chwili przesuwało się czołenko z człowiekiem, który płynął z zatoki. Czyby on chciał uciekać? Nie—tylko o jakie 10 kroków wysunął na wodę—może chciał się dowiedzieć czy statki nadpływają—ale woda poczęła go unosić, musiał więc wszystkich sił użyć, aby się dostać na spokojną wodę.

Billings nie wiedział co robić na razie. Stawiając u zatoki, mógłby się narazić w otwartym polu na strzały nieprzyjaciół, którzy ukryci mogliby ich sprzątać kolejno, tak nie można było.

Żadnego znaku życia, chociaż dym coraz bardziej wzbijał się w górę—w tym padł strzał prawdopodobnie ze strony Ashleja — a może to być sygnał?

Dał się słyszeć jakiś ruch w zaroślach, łódka znów się ukazała z wolna płynąc i ciągnąc za sobą linę, do której prom był przyczepiony, na nim powiązane konie, ludzie zaś z murzynami zaczęli szybko wiosłować.

Billings nie zważał na to: jak waż prześliznął się pośród zarośli i skrył się.

— „Uciekają! zawołał mamy łotrów teraz! Wskoczyli na statki i odbiwszy od brzegu puścili się na wodę. Z początku nie widziano ich z promu, gdyż zajęci byli mocno wiosłowaniem zmuszeni trzymać się kierunku oznaczonego, aby nie wpaść na odłamy drzewa, w przeciwnym zaś razie gdyby się tam dostali byłiby straceni. Gdyby już wypłynęli na otwartą wodę uniknęliby niebezpieczeństwa. Skoro się jednak dostali tu, spostrzegli dwa szybko zbliżające się ku nim statki. Billings dojrzał 2 białych na pokładzie w okamgnieniu dał się słyszeć strzał i kula jednemu z nich zrociła kapelusze z głowy.

— „Do wszystkich dyabłów! to już naprawdę się zaczęło odezwał się Billings ze śmiechem—sądzę że tam na promie będą mieli robotę—i wymierzył do drugiego nabijającego broń na promie.

— Czy kula trafiła? nie mógł widzieć dojrzał tylko że jeden z koni poczęł się rzucać, dęba stawać, przez co wszczął się nieład i prom zaczął się gwałtownie pochyłać—więc też i celować dobrze nie było można.

— „Tych dwu zuchów na czołnie—odezwał się Billings do innych, chce namuciec pospiesznie więc za nimi — i jeżeli się dobrowolnie nie poddadzą, zastrzelę ich—ja w tym czasie napadnę prom. Jeden ze statków wysunął się uchodzącym, a oni coraz prędzej wiosłowali. Jednocześnie Billings zbliżył się na jakie 50 kroków do promu. Murzyni ukryli się po za koniami, a jeden z białych celował, lecz nie

mógł spokojnie ustać na nogach. Billings stojąc na łodzi nabił fuzję podsypał panewkę i wymierzył.

Jeden biały leżał już wsparty na promie, drugi zaś wystrzelił, a skoro kula przebiegła rzuciwszy broń na pokład wpadł w wodę i zanurzył się. Był to ostatni ratunek skoro o 20 kroków ukazał się na powierzchni wody zobaczył łódź, zanurzył się powtórnie, lecz na próżno; nie mógł dłużej wytrzymać pod wodą.

Gdy się powtórnie wynurzył znalazł się tuż przy sterniku, co go chwycił za włosy gdy się chciał schować pod wodę. Prom płynął ciągle z wodą, gdyż murzyni już nie chcieli wiosłować, mały zaś statek był tak ściganym, że moderatorzy mogli być pewni zwycięstwa.

Ashlej tymczasem szedł małą drożyną, prowadzącą między wyłomami trzciny i posuwał się naprzód. Znajac miejscowość mógł wiedzieć lepiej od innych, gdzie nieprzyjaciół się znajdował. Zarośla były tutaj rzadsze niż tam gdzie się Jenkins znajdował tak że o 20 kroków można było przedmioty rozpoznać. Nagle się zatrzymał.

— „Jakiż tu czuć mocny odór dymu“ odezwał się do towarzyszy. Nie dziewiłbym się wcale żeby te łotry uciekając podpalili zarośla. Gdzie leży Skanty? zapewne stąd niedaleko? Nie więcej jak o 300 kroków — dym stamtąd dochodzi.

— „Do pioruna!“ odezwał się Ashlej — „to pewno Jenkins napalił ogień — jeżeli płomień się odwróci to się dostaniemy do piekła!“

— „Pewno ich chce z tamtąd wykurzyć?“

— „Tak, ale i nas także, w takim razie nie możemy iść naprzód, aż się dowiemy w którą stronę ogień postępuje.“

— „Ale zanim ogień dojdzie, my już będziemy na miejscu“ odezwał się jeden z oddziału, kat ich tam wie, którędy będą uciekać.

— Idzie jeden! zawołał Ashlej—usunąć się—sam schował się za drzewa, reszta ukłękła lub skryła się za krzakami. Człowiek ten uciekał pędem, trzymając broń w ręku i nie widząc przed sobą żadnego niebezpieczeństwa. Kiedy zbliżył się o 10 kroków, wstrzymała go broń Ashleja.

— „Stój psie! bo cię zastrzelę! Krzyk przestachu wydarł mu się i mimowoli wymierzył fuzję, gdy Ashlej pociągnął cyngiel i trafił go w głowę. Upadł nieżywy.

W tej chwili stary się rozgorączkował.

Nie było wątpliwości że łotrów już napadli, prawdopodobnie Billings przeciął im komunikację na wodzie, inaczej ten nie przedzierałby się tedy przez nieprzyjaciół. Nie nabijając już broni Ashlej dał rozkaz do ataku naprzód! i ruszył na czele.

W tym dały się słyszeć strzały pojedyncze, zapewne złościny poszli w rozsypkę — teraz szło o to, czy ich ogień dosięgnął.

Spełniło się przewidywanie Ashleja.

Na promie ci co chcieli uciec żeby ukryć zdobycz, dali znać o niebezpieczeństwie towarzyszom, którzy jednak nie spodziewali się aby spotkanie było tak bliskie. W tym spostrzegli 2 statki na wodzie i jednocześnie dym zbliżający się z drugiej strony—widocznie z dwu stron byli atakowani przez nieprzyjaciół.

— Ratuj się kto może! było hasłem ogólnym, bo dowódcą znajdował się na promie, a pojedynczo łatwiej się mogli przedostać. Dwu było na promie, dwu na łódce, dwu posłanych po statki, czyż pozostałych siedmiu mogło się oprzeć całej osadzie.

Stary Jenkins był przekonany że w ogień się nie rzucą i dla tego po pierwszym strzale postarzał się obsadzić południową część zarośli, która stykała się z lasem. W tym 4-y przestraszone postacie pokazały się, lecz nie mogli widzieć przed sobą z przyczyny zarośli i nie spodziewali się tu zastać nieprzyjaciół. Nagle zostali ze wszystkich stron otoczeni; chcieli

użyć broni lecz w gęstwinie nie mogli, dwu uciekło: jeden w prawo drugi w lewo, kule za nimi gwizdały; dwaj inni osłupieli, nie mogli biec ani wtył ani naprzód, nieprzyjaciół nie mógł równie widocznie celować i jak niedźwiedzie ścigani przesuwali się przez zarośla. Jak psiarnia niedźwiedzia tak ich wrogi osaczyli.

— Netlej! wrzasnął z gniewem Jenkins i pobiegł naprzód. Cierń wyrwał mu broń z ręki, nie czuł już tego—pień drzewa leżał mu na drodze, stary jak jeleni go przesadził. Złościna usłyszał za sobą kroki odwrócił głowę i poznał tego którego osmagał... swego najzaciętszego wroga!

Uciekać już nie mógł, nogi odmówiły mu posłuszeństwa—odwrócił się i podniósł broń; Jenkins nie nie widział, tylko wyjął nóż i w mgnieniu oka wpadł na niego, gdyby nie to że proch spalił na panewce, byłby starego zabił, w tej chwili Jenkins chwycił go za gardło i obaj runęli na ziemię. Bójka nie długo trwała kula moderatorów drugiego położyła, — Sip, który nie odstępował swego pana przybiegł mu na pomoc i wzniósł buławę.

— Zatrzymaj się Sip, zawołał Jenkins, murzyn broń opuścił.

— Trzeba go żywcem ująć. Schwycił go za ramiona i trzymał w objęciach za nim inni nadbiegli pogromcy.

Strzały jeszcze padały, w różnych stronach, ale walka była już skończona; a gdy się reszta rozbiegła aby chwycić zbiegów Sip został pilnować jeńca.

Kierunek wiatru się zmienił i powiał od strony rzeki, po jakimś czasie słychać było jak ogień objął trzcinę gdyż trzask i łoskot dochodził.

Chłaz ten dochodził coraz bliżej. Sipa posłano aby wyszukał Nelly i do domu ją odprowadził gdy tymczasem pogromcy z dwoma jeńcami na południe podążali. Stąd ruszyli do domu Joe'go, gdzie oznaczony był punkt zborny dla wszystkich po skończonej wyprawie.

Spotkali się z oddziałem Ashleja nastąpiły radosne okrzyki i powitania, wieczór się zbliżył nim Billings ze swym oddziałem, zdobytymi koniami i murzynami przypłynął. Przebył przeszło 50 mil angiels. drogi, zanim mógł się dostać do brzegu. Murzynom, którzy byli na statkach dodał swoich aby popłynęli do domu, sam zaś z resztą oddziału oraz 4 jeńcami i koniami przybył do Joe'go.

Jeden z regulatorów ranił kule w brzuch nie mógł więc iść, przywiązano go więc do konia, a Billings prowadził za ude—gdysie zaś dostali na dobrą drogę, kłusem zbliżał się do punktu zbornego.

Sądu nie trzeba było zwoływać. Schwytany wraz z drugim na łodzi, zraniony herszt był ten sam co napadł na dom Jenkinsa. Ci dwaj co na promie byli to ciż sami, którzy przywiązali Jenkinsa do drzewa.

Wszystkie konie jak również i murzyni byli skradzeni z osady.

Żaden z jeńców nie wyrzekł ani słowa tłumaczenia, tylko Netlej rzucił się przed sędzią na kolana i prosił ich o życie. Ośmiu regulatorów wraz z dwoma zostającymi pod strażą Joe'go a między nimi Boyd, wzięto do niewoli, trzech zabito uciekających, dwu uciekło, a pogromcy pierwszy raz na straszny sąd zasiedli.

— „Na co zasłużyli złościny? zawołał Jenkins—co mordy i łupieżstwo wniesli wnasze ciche ustronie.

— „Na śmierć! rozległ się jednogłośnie okrzyk. W pięć minut wszystkich powieszono w lesie na jednej gałęzi.

Joe oznajmił że jego żona ze strachu i przerażenia nie spałaby w nocy gdyby wisielecy mieli tak blisko zostać na gałęzi, dla tegoteż

jeszcze przed wieczorem zdjęli ich i wrzucili do wody.

Od tego czasu spokój panował w całej osadzie Redriveru ani jedna banda regulatorów nie pokazała się więcej. Na 2 zbiegłych, na drugi dzień przybyli mieszkańcy za leśni zarządzili obławę, lecz żadnego nie ujęli. Okolice ta była dla nich za gorąca i długi czas w stacjach zachodnich tułali się aż w r. 1848 po odkryciu kopalni złota do Kalifornii się udali.

Od tego czasu Texas zupełnie był spokojny od wszelkich napadów i mieszkańcy mogli bezpiecznie zajmować się uprawą roli.

KONIEC.

LISTY Z KRAKOWA.

F. M. Eysymonta.

(Spóźnione)

31 Października 1874 r.

Godzina szósta. Pełna treści i bijącego pulsu życia dźwięczna prelekcja prof. hr. Tarnowskiego o mistrzu natchnionym, o wieszczu, skończyła się, — a żal, że się już skończyła!

Chodźmy przejść się nieco: wieczór tak słiczny, pogodny, choć powiewa jesieni smutkiem, mrozi jej zimnem. Doprawdy, szczególnie, osobiwsza to istota jesień, przemawia tęsknotą i chłodem, godzi w sobie smutek i zimno, rzewne wspomnienia dni wiosny wywoływa, a od jej podmuchu wędnie kwiecie, listki na drzewach żółkną... I jak pojąć te dwa kontrasty w całość zjednoczone? Wszakże jest inna jeszcze podobna istota, niedawno ją poznałem — stary gród ale o tym potem!

Jesteśmy na rynku krakowskim, któremu żaden z europejskich, jeśli wierzyć zdaniu ogółu i księgom uczonych, dorównać nie może. Co za powaga w tej chwili wieczoru, co za majestatyczność! Śród obszernego kwadratu wysokich oświeconych pałaców strożytnych stoi widmo przeszłości, ciągnie się mur długi odwieczny, założenie swe jeszcze Bolesławowi Wstydliwemu, a następnie Wielkiemu Kazimierzowi zawdzięczający — To Sukienice stare; nad niemi błękit gwiazdzistego nieba, a z poza całego górnego kwiatonu ich iglic w stylu więcej *rokoko*, wygląda księżyc w pełni, oświecając dalej ciemne wieże Wawelu, bliżej wieżę Maryjackie wieże. Ach! poco ten zgilek, turkot i krzyki, te objawy ruchliwego miejskiego życia. Rysunek romantyczny, pierś się lekko wznosi i oddech tamuje, obraz rozkoszny, dziwny, rzewno-tajemniczy, a więc wyższy nad pędzel Salvatora Rozy!

A na asfaltowych chodnikach tłumy ludzi. Tu spracowany robotnik do domu pośpiesza, służący z butelką pod pachą bieży po naftę, żyd-faktor nieznosny za poły cię ciągnie — szkaradna proza. Lecz oto bieleją od gazowego światła, rześsiście tryskającego z okien magazynów, liczka krakowianek, które, żeby były piękne, tego nie powiem, ale ot zawsze podlotki i lotki poci pięknej, pączki i świeże kwiatki. Często przesuwają się jaki kapelusz lub z pompą wystający nad tłum cylinder. Ludzi, wprawdzie wiele, wszakże z wnętrza tej plataniny wieje sen, niepojętą jakąś ospałością... I czegoż tak chodzą, wszyscy, płacząc się snują? skąd tu tyle pań, panów, panierek i paniczów? Ba, czego? — Używają towarzyskiego życia. Rano i pod wieczór to wszystko ęmi się i lśni się na

Plantach *), dokąd i dzieci z mamkami, niankami, wózkami i kołyskami cały inteligentny Kraków na cały dzień wysła, a teraz to już pora *bawić się* na chodnikach rynkowych... W domu jakoś nudno ciągle siedzieć. A dla czego nudno w domu? Wybornie, ot się i myśl nawinęła do listu mego, który — przyznam się dobrodusznie, usiadłem pisać, niby nie zakreśliwszy sobie wprzód pewnego celu... A więc słówko o społecznym życiu krakowianów, ich zwyczajach i obyczajach,

Bo słusznie mówi przysłowie: „co kraj to obyczaj”.

Czytając książeczkę: *Pol i jego pisma*, wydaną przez p. Stefana Buszczyńskiego (Kraków, 1873), znalazłem na str. 17 w odsełczu słowa, które ten poeta, wieloletni mieszkaniec krakowski, powiedział był jednemu z przejeżdżających, oto są one: „Ha! widzi pan: w Krakowie ludzie jak kamienie, a kamienie jak ludzie” — to było stałe i niewzruszone przekonanie naszego ślepego pieśniarza....

Wszakże, by powiedzenie to miało za sobą słusność, tego nie powiem; jest tu wprawdzie cząstka niemała kamieni a raczej pleśni odpychającej, lecz w większości tętni poeziwe serce, tylko to bieda, że znów u znacznej większości tej większości ono tak się skryło w przyjęte bez wszelkiej zasady, częstokroć rażące i niesmaczne formułki społeczne, że zamiast przyciągać odpycha, zamiast upoić szczerotą gościnną, ciepłem ogrzać — razi i niemiłym napełnia wrażliwością.... Osobliwie podobny zewnętrzny charakter krakowianów uderza naraz w pierś świeżo tu przybyłych. A przynajmniej tak się zdaje, i to *zdaje się*, dla braku głębszego zbadania, u wielu w pewnik się zamieniło, wyzwało nazwę *kamieni* u poety....

Tego się nie przebacza Krakowowi. Lecz miasto tak niby głęboko katolicko-chrześcijańskie snadź zapomniało śród wielu jedną z boskich nauk Chrystusa: „komu wiele dano, od tego wiele wymagać się będzie”.

Brak tych zewnętrznych oznak wzajemnej miłości połączony z niczym niewytłomaczonym chłodem wiejącym w zamkniętej w sobie *kasty* krakowian, w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, silnie oddziaływała, jak już powiedzieliśmy, na wewnętrzną stronę nowo przybyłych, na ich przepętnione żywym uczuciem serca; nie od jednego słyszeliśmy skargi i ubolewania w podobnym rodzaju, toteż tym śmieiej o tym mówimy.

„Rozezarujesz się!” pisał mi kiedyś szlachetny Kraszewski... i rzeczywiście pierwotne wrażenia po naszym tu przybyciu były tak przykre, że pomimo woli chorobliwe strofki jakieś kreśliły się po papierze, w guście, na przykład, następujących:

Mówisz, żem chory? — i naciżem chory?
Nie, — to tyś niezdrow: u mnie w sercu rana,
A twoja dusza *zgermanizowana*
Chłodem... rachubą... Och! wy, wy, doktory...

Każdy gorączki zaraz szuka, studzi,
Bo sam *wystudzon*, świeci pleśni błyskiem...
Moja choroba — to lzy nad zwaliskiem,
Ta z ludzi *tłumu* tęsknota do ludzi!...

Jednak upłynęły dzionki, upłynęły tygodnie i miesiące, i wnet się zmieniły nieco pierwsze wrażenia, poznaliśmy tu kilka serc prawych, a rodowych krakowskich, wniknęliśmy w serca społeczeństwa miejscowego choć trochę poznaliśmy je i już nie dzieliłam tak

*) *Planty*, plantancje, są to bulwary wysadzone kasztanami i brzożami, otaczające dookoła Kraków na miejscu dawnych rozebranych murów fortyfikacyjnych. Zasadził je głównie p. Straczewski, któremu obecnie wznosi się tu pomnik.

dalece niekorzystnego zdania ogółu o krakowianach....

Wyżej się powiedziało, że wierzchni, jakkolwiek cienki stół pleśni miejscowej, pograżony w rutynie XVIII w. i owoczesnych przesądach, o niej więc tu nie się więcej nie powie... Wyżej także niezależnie od owej pleśni rozdzieliło się ogół krakowski na dwie nierówne połowy i nadmieniło o pewnych formułkach społecznych rażących, tamujących prawdziwy rozwój serca i istnego ukształcenia człowieka, o którym jako zupełnie niezależnym od książkowego rozumu mówi światły Smile w swej *Pomocy Własnej*.

I jakież są to formułki?

Formułki etykietałne, t. j. zbyt napuszono-etykietałne, gdyż etykieta to tyle o ile jest potrzebną, tchnące nadto jeżeli nie chińszczyzną to taki naprawdę porządną dozą niemieczyzny, która, zależąc od wpływu rozmaitych miejscowych żywiołów, przerodziła się w odrębny właściwy tylko Krakowowi charakter. Są one śmieszne, niekiedy wstrętne, jak to zaraz uodowodnimy, są przyczyną braku społeczeńskiego życia, serdeczności, solidarności, etc. etc., co aż nadto się uczuwa, dają przytym pokarm zastajowi w dość sporych porcjach... i wyrażają wiele, bardzo wiele złego, jak naprzykład wpływem swym na licznie tu zgromadzoną młodzież szczególnie uniwersytecką, pragnącą, a pozbawioną towarzyskiego ciepła i jakiegos serdeczniejszego kółka... o czem, jako o skutkach szkodliwych, wiodących do splenu i wślad za tym do szukania innych nie duchowo miłych i pięknych przyjemnośtek będziemy mówili w następującym naszym liście. Tu wypada nam jeszcze wzmożnić nasze poglądy, nadać im siłę *faktu*, koloryt trwalszy kilkoma szczegółowszymi zarysami.

Przypominam sobie w tej chwili pobyt mój dłuższy w guberni Wołyńskiej (o prowincyi już nawet niema co mówić), bardzo wiele tam jest porządných polskich domów, które się często wieczorem nawzajem odwiedzają, zaprzyjaźniają, a młody człowiek wprowadzony do jednego z nich, zwykł był najpierw składać zwyczajną dzienną wizytę między dwunastą a pierwszą, poczym bywał już tylko wieczorami, odstępując od tego zwyczaju chyba w jakieś wyjątkowe dni imienin lub świąt, zaś przyjmowany z szczerą gościnnością i serdecznością gospodarzy, większą znajdował tu przyjemność, jak na jakimś bilardzie... serce wpływało na serce... dobrane towarzystwo rozwijało umysł, dawało naukę, której nie da żadne gimnazjum, żaden uniwersytet, że częstokroć w bardzo krótkim przeciągu czasu, jeśli był godzien, stawał na stopie przyjaznej, stawał się następnie prawdziwym przyjacielem domu. Towarzyska łączność we wszystkich jej zasługujących na pochwałę objawach, dobrane przyjazne kółka, skromne domowe a więc tym miłsze zabawy młodzieży obojga płci uprzyjemniały długie jesienne i zimowe wieczory, odświeżyły umysł pracującym naukowo, i co główna — odciągały młodzież męską od wyradzającego się z samotności i nudów szukania innych zgubnych na duszy i ciele, na zdrowiu, umyśle i sercu przyjemnośtek. Tam więc jeżeli są również przedwieczorne spacerki, lub wieczorem publiczne zebrania, to z pewnością nikt się nie włóczy całymi dniami i wieczorami po *Plantach* i *brukach rynkowych* bez celu.

A więc jeden Kraków tylko pod tym względem stoi zupełnie na uboczu. Serce ma, ale go trudno dojrzeć z za nawisłej chmury przesądów i ni to polskich, ni to niemieckich a już i nie chińskich zwyczajów.

Krakowianie w ogóle ze sobą bardzo mało się łączą, prawdziwego towarzyskiego życia brak im zupełny, na przybyłych z innych

stron rodaków w większości swej patrzają z niedowierzaniem, jakby na obcych, młodzieży, a szczególnie kształcącej się (i tu największy błąd!) z bardzo nielicznymi wyjątkami w domach swych prawie nie przyjmują, pędzą życie egoistycznie zamknięte, *bawią się*, po całych dniach na *Plantach* i *brukach rynkowych* z nudów i już kiedy chulają, to chulają na publicznych lub domowych wystawnych balach szczególnie w czasie karnawału. Wizyta wieczorna, jakieś kółka serdeczniejsze, jakby rodzinne? — a broń Boże! — Zamknięty egoizm lub pyszna wystawa raz na rok około święta i t. d. Dobrze wykształcony młody człowiek, jeżeli bywa w jakim domu i jest dobrze widzianym, — oddaje swoje wizyty raz na parę miesięcy a co najczęściej raz na miesiąc między 11-tą a 1-szą, lub 3-cią a 5-tą na pół godziny; to już krakowska *nażyłość*. Ale, bo i cóż bez *ale*? następujący *fakcik* dopowie resztę.

Znajomy mi bardzo przyzwoity pan X. bywał w domu bardzo porządnym pani Y. która ma dwie córki na wydaniu, w godzinach przypisanych wymogami miejscowo już chińskiemi. Onego czasu ów pan X. złożył wizytę przedwieczorną owej pani Y. a gdy bawił dłużej niż zwykle, znająca grzeczność i serdeczność, pani Y. zapytała pana X. zbyt naturalnie i prosto.

— „Proszę mi oświadczyć, w jakim celu pan bywa w naszym domu?”

Horrendum absurdum que!! To coś niepraktykowanie oryginalnego!... Przyznam się, że i najsprytniejszy w odpowiedziach sam zgłupiał by na podobne zapytanie... Pan X. rezultatem tego zaprzestał bywać w domu pani Y.... Ot co jest!

Ale dosyć. O skutkach zgubnych takiego społecznego nastroju, o braku zupełnym estetycznego gustu, przy bijącym w oczy materyjalizmie coś nakształt żydowskiego a *groszen*, o brudach i śmieciach, na których tu nie zbywa, o żydach faktorach w skrytości wywiadujących się o materyjalnej sytuacji *tej* lub *tego* i kójarzących małżeństwa i wielu wielu innych nie osobliwościach, to już przedmiot przyszłych naszych listów.

Trzebaż przecie i na nowinki jakieś miejsce zostawić.

Pisałem już, że cały Kraków zajęty był niedawno Sejmem lwowskim i wyborami posła do Rady Państwa. Jak tu starsi polacy zostali jeszcze zwycięzcami żydów w wyborze większości głosów D-ra Rydzowskiego zamiast Werchauer'a, tak również przed kilkoma dniami młódź polska zwyciężyła żydowską w wyborze na Prezesa Czytelni akademickiej po wtórnie, syna znanego pisarza p. Bartoszewicza zamiast żydowskiego kandydata. Dziś te zwycięstwa zawdzięczamy li tylko większości naszej, ale co to później będzie gdy żydów więcej będzie? Fakt to uderzający, który czytaliśmy w wyliczeniach statystycznych jakiegoś N-ru *Czasu*: nie pamiętam, w przeciągu ilu lat, dość że nie zbyt długim, ludność polska wzrosła tu o 25%, gdy żydowska w tymże czasie o 150%, czyli sześć razy więcej! Baczność nam nakazuje patrzeć w przyszłość.

Cóż więcej? — Ot smucimy się i zarazem cieszymy się, jak wszędzie na świecie: cieszymy się że ks. Władysław Czartoryski jest w zamiarze przeniesienia do Krakowa bogatych swoich zbiorów naukowych historycznych i artystycznych z Sieniawy i na ten cel miasto zamyśla ustąpić mu starej zbrojowni miejskiej przy Floryjańskiej bramie z częścią murów i kawałkiem placu na rozszerzenie budynków. Nadto interesuje nas jeszcze mające wkrótce się ukazać nowe pismo, poświęcone wyłącznie naukowej i belletrystycznej we wszystkich gałęziach tych dwóch

obszernych działów krytyce, — *Przegląd krytyczny*, pod redakcją prof. Dra W. Zakrzewskiego. Z serca życzymy mu powodzenia, ale... jeśli na nie zasłuży, czego wszakże można się spodziewać.

Niedawno otworzono w Zagrzebiu w Dalmacyi Uniwersytet *Słowiański*. Jakże się powinny wstydzić bracia słowianie, że w wysłaniu tam delegatów na ceremonijal odkrycia uprzedził wszystkich braci, niemiecki, Berlin Bismarkowski!... Że następnie za ledwo Serbowie tylko i ktoś tam jeszcze prezentowanymi na odkryciu tego uniwersytetu byli. I tu Kraków stary zbłądził, ba i bardzo, że aż zda się mówić: „czyńmy myłki za myłkami dogodne na dziś, — co nas ma obchodzić przeszłość synów i wnuków, kiedy nam dobrze, a po nas chociażby ludwikowskie *le deluge!*” Niedawnymi nawet czasy Niemcom, a nie komu innemu, zawdzięczał świętej pamięci Narzyski temat do swej sławionej komedii *Epidemii*, której chyba to zarzucić można, czego dotychczas nie zrobiono, że autor nie wyraził, gdyż zapewne sam nie rozumiał, kto mianowicie pierwszą myśl podał do prawdziwego w pierw odegrania tej smutnej komedii w naszym świecie, a następnie dopiero na deskach teatralnych. *Krach* bowiem, czyli kryzys giełdowy, bankructwo którym obecnie Wiedeń grozi, jest to pierwotnie obmyślana przez wrogich nam niemieckich centralistów połapka na polskich i w ogóle słowiańskich kapitalistów w celu zubożenia tak zwanych *provincy*; i — znakomicie też nas złapano: miliony słowiańskie przeszły w niemieckie ręce. Ol ślepi i niewidzący.

Na zakończenie powiemy jeszcze parę anegdot z życia Wiedeńskiego.

Pierwszą z nich jest pojedynek prusaków na territorium austriackim pod Wiedniem. Podporucznik huzarów p. Bogya padł od kuli pistoletowej z ręki porucznika barona Stejna, który po dopełnieniu tego *czynu* natychmiast wraz z sekundantami uciekł do swej ojczyzny i stosownie do litery prawa za pojedynek odbyty nie na swej ziemi karany nie będzie. O co im poszło? — nie wiadomo; powiadają wszakże, że o piękną jakąś panią serca.

Znana to jeszcze i w naszym wieku anegdotka. Lecz opowiemy inną, która się tyczy całych setek głów mędrków świata tego.

Dnia 21 października minister wyznał i oświecenia p. Stremayer w czasie inauguracji nowego rektora wiedeńskiego uniwersytetu prof. Wahlberga przy wejściu na aulę uniwersytecką i wyjściu z niej podwakoć był głośno wysykany i wygwizdany przez 700 zebranych tu studentów a to z powodu że ministerjum oświaty wydało rozporządzenie, zawierającą w sobie nagane i ostrą krytykę na niedbalstwo młodzieży co do uczęszczania na wykłady uniwersyteckie. Coś podobnego jeszcze przed trzema laty spotkało tu ministra Liereczka. *Sapienti sat.*

KORESPODENCYJA

„Opiekuna Domowego“

Sieradz w ostatnim tygodniu 1874 roku.

W ostatniej mojej korespondencji obiecałem Wam donieść coś o amatorskim naszym teatrze. Nie ograniczę się bynajmniej na komunikowaniu o tym tylko rodzaju przedstawień, od owego bowiem czasu do obecnej chwili, krom. teatru, teatru, i jeszcze teatru... niczym innym co godnym byłoby uwagi dla prowincjonalnego, patrzącego z którego kolumna się dymi, wampira, horyzont miasta i oko-

licy, nie był oświeconym ani zachmurzonym. Jeżeli zdumiewając mnie zapytacie, czy nasza maślanka nie lubi zabawy, mógłbym Wam w takim razie otwarcie powiedzieć, że jak na partykularz, jest ona dosyć *zabawną*.

Przystępując do teatru, kategorycznie wspomnę o każdym... po żdziebelku.

Że nas Opatrzność wszechstronnie obdarzyła rokiem teatralnym, o tym nawet wyszukana przemysłowość tutejszych tak zwanych gnatów i chwatów szkolnych, najwyraźniej powinna świadczyć. Przyczynili się oni bowiem do sprawy urozmaicenia naszego repertuaru. W dniu ósmym listopada, mając ofiarowane prywatne mieszkanko, z ogólnym zadowoleniem spektatorów, powiększej części składających się z koleżków, wystawili 1-szy akt z komedii „Pan Kwiryn czyli Podejrzany“ Fryderyka hr. Skarbka, mieszczącej się w fragmencie między innymi utworami dramatycznymi w Wypisach Polskich ułożonych przez P. D., i krotofilę w 1-ym akcie p. Wacława Szymanowskiego „Na ulicy.“

Dochodu mieli coś 9 złotych, które większość głosów przeznaczone zostały na zakupienie odpowiednich kostyumów (sic) do pięciu aktowego dramatu Fryderyka Schillera p. t. „Zbójcy;“ lecz niestety, z przyczyny zaszłego nieporozumienia pomiędzy artystami (podobno o Amalię), drugie przedstawienie nie mogło przyjść do pożądanego skutku — i rzeczywiście nie przyszło. Takim więc bardzo z jednej naturalnym, z drugiej zaś strony nainnym sposobem, ciężko zapracowanny fundusz zamiast być przechowywanym ad feliciora et meliora tempora, z dyczyzi pana dyrektora, na zaopatrywanie Landrynowską procedurą kieszonki łakomych par renomée młodocianych pupillów przeznaczony został. Loika w tym nielada!

Antrakty do czasu pojawienia się w mieście naszym odmiennej przyjemności, zapełnił magik i brzuchomówca, niby profesor magii i chemii Simens, a podono tylko famulus mistrza w sztuce wyzyskiwania, niedys pod tym nazwiskiem znanego. Że zręczność nie czary, o tym mieliśmy dobrą sposobność oczywistego przekonania się w reprodukowanych przezeń najrozmaitszych sztukach magicznych; jednak nasze finanse nie uległy zbyt jeszcze, jak to zwyczajnie bywa — wysileniu, gdyż tych wieczorów czarodziejskich mieliśmy za ledwie dwa. Od nas chudziatko powędrowało dalej, celem pocieszenia się lepszym jak u nas powodzeniem.

Myśleliśmy, iż nas zaraz coś lepszego odwiedzi; lecz z deszczu wpadliśmy pod rynnę; przybyła znów podróżująca trupppa (dla różnicy między innymi trupami piszę dwa p więcej) pod dyktando p. Alojzy Buchholtz. Tymczasowym doniesieniem zawiadomiła, iż przejeżdżając przez tutejsze miasto, zamierza dać kilka, raczej szereg przedstawień dramatycznych. Za ledwie przybyła do miasta i chciała garderobę poumieszczać w wynajętym lokalu, spostrzegła ku wielkiemu podziwieniu, iż głównego kuferka nie ma na furze... a więc go skradziono, i to nie inaczej jak w drodze. W skrzyni tej mieściły się nieszczęśliwym przypadkiem niezbędne do pierwszego przedstawienia kostjumy i biblioteczka teatralna. Lecz mniejsza o książki — w potrzebie księgarnia tutejsza z rzeczywistym pożytkiem mogłaby służyć; zresztą sztuki przeznaczone do pierwszej reprezentacji były dobrze wystudjowane, lecz jakże tu Melpomeno, począć bez kostyumów? Nie było innej rady, jak pożycząć sobie ubiory, co też postanowiono skutecznie.

W dniu 22 z. m. afisze rozlepione na „tablicy anonsowej“ i po rogach ulic, nagle zapowiadały „Dwóch mężów“ Korzeniowskiego i „Adama i Ewę.“ Jak wiadomo „Dwaj Mężowie“ rolę swą odgrywają w Rawie, dokąd

stad liczymy 21 mil; w kostyumach więc, zwłaszcza salonowych, między Rawa i Sieradem jeżeli nie jest żadna, raząca nie może być różnica. Pozbierano natenczas przy pomocy ex re wylegitymowanego faktora z czterech kątów miasta, co tylko było potrzeba.

„Adama i Ewę“ zdaje się według słów jednego z naszych dowcipniśców, złodziej garderoby uważała za najstosowniejsze odgrywać *nago* rzecz więc, zamiast w dobrach hrabięgo, słusznie dżiać musiałaby się... w raju. Pierwsze przedstawienie zakończył taniec humorystyczno-komiczny. „Lejbe i Siora“ wykonany przez panią Buchholtz i jej syna.

Drugie dwukrotnie ogłoszone przedstawienie, z powodu zbyt wygórowanej ceny miejsce przez co 7 tylko było spektatorów, nie przyszło do skutku; składać się ono miało z „Szwaczki Warszawskiej“ Wieniawskiego, Bankructwa partacza“ Żółkowskiego; zakończyć zaś miał taniec nacyjonalny węgierski p. t. „Czardasz.“ Dnia 3 b. m. dane było ostatnie przedstawienie, a mianowicie: „*Fircyk w zalotach*“ i „*Okno na 1-m piętrze*.“

Nareszcie słów kilka o teatrze amatorskim.

Szczupła liczba amatorów i amateerek, nie pozwoliła obierać sztukę poważnej treści; wszystkich zaangażowanych było 10 osób, a że przeważną cyfrą byli mężczyźni, nie jedna więc dama obarczona została kilku w jednym wieczorze rolami. Postanowiono w repertuarze umieścić „Zbudziło się w niej serce“, lecz z powodu niespodzianego odmówienia współudziału przez jedną młodą amatorkę, sztuka ta wykreślona została, i gdyby istniała nowa sztuka p. t. „Zgasło w niej serce“, natomiast wybrana byłaby.

Afiszę podały wiadomość, iż w dniu 6 Grudnia dane będzie pierwsze przedstawienie amatorskie z sztuk: „Kosa i kamień czyli narzeczony z rekomendacyi“ J. J. Kraszewskiego, „Maż, żona i przyjaciel czyli autor w kłopotcie“ i „Rok po ślubie czyli żony płaczące.“ Rada opiekunów zakładów dobroczynnych, chcąc, aby zabawa była huczniejszą, zatelegraowała do Warszawy po p. Wincentego Singera pierwszego skrzypka orkiestry teatru warszawskiego, aby przybył do swego rodzinnego miasta, w celu urządzenia koncertu, co też p. Singer, będąc opatrzoną 5-ciodniowym urlopem dyrekcji teatrów, natychmiast uczynił. Zbyt ograniczony termin nie pozwolił p. S. dać się słyszeć w umyślnie urządzonym koncercie; grać miał więc tylko w czasie antraktów. W dniu przedstawienia zaszła zmiana w repertuarze i zamiast sztuki „Kosa i kamień“ pan Singer dał koncerek z następującym programem:

1. Militarny koncert Lipińskiego
2. Souvenir de Hayden Leonarda,
3. Première Rapsodie La hongroise,
4. Mazurek Wieniawskiego (Hauser).

Panu S. należy się pochwała za świetne wywiązanie się z swego zadania; dowodem zupełnego zadowolenia mogą służyć sute oklaski, jakimi tutejsza publiczność koncertanta obdarzyła—*sum cuique*. Nie żądając żadnego wynagrodzenia za uprzejmie wysłuchaną przysługę, oprócz kosztów podróży w obydwie strony, p. Singer w wyznaczonym terminie stanął w Warszawie.

Sala była przepelniona tak, iż biletów zabrakło; kilkanaście ostatnich biletów sięgnęło nawet daleko wyżej, aniżeli na afiszu oznaczonej ceny. Jakże tu nie dążyć z ofiarą, nie popierać celu tak sympatycznej i z ogólnym pożytkiem rozwijającej się instytucji, jaką jest dom kalek i starców, szpital i t. d.? Znaczący zastęp obywateli ziemskich umyślnie zaproszo-

nych poprzyjeżdżał nie tylko z naszego, lecz także z Wieluńskiego i Łęczyckiego powiatów.

Dochód wyniósł brutto 370 rubli, w której summie mieszczą się 73 ruble za same afisze przez uproszone panie i panów zebrane. Co do gry muszę zaznaczyć, iż pp. Kos. i Fr. wielce się przyczynili do wybornego oddania „Autora w kłopotcie“, pierwszy w roli zakłopotanego autora, drugi zaś Narcyza.

Powątpiewano, czy drugie przedstawienie przyjdzie do skutku: pomimo rozdzielonych już ról w „Przysłudze“ z występować mających osób, panny odmówiły współudziału w tej sztuce, mówiąc, iż role ich są stosowniejsze dla mężatek, jak dla panien. Jak *Deus ex machina* przy końcu spektaklu u starożytnych ludów spuszczonego został dla przecięcia sęku, tak też niespodzianie i tutaj się stało: pozwolono odegrać z zmianami komedję w 1-m akcie „Kosa i kamień“, oprócz tego w dniu 13 b. m. odegrano chwalebnie sielankę dramatyczną „Zbudziło się w niej serce“ w której pani N. K. jako gospodyni Urszula, najlepiej grała, a zakończyła Komedję w 1-m akcie z francuzkiego p. t. „Biała Kamelija.“ Dochodu z tego przedstawienia było 235 rubli, między którą liczbą znajduje się za afisze 40 rubli; z obydwu przedstawień po odciążeniu kosztów urządzenia, oświetlenia sali i honoraryjum dla muzyki, składającej się z 8 osób rodziny Singerów, która za dwa wieczory 20 rubli otrzymała, było więc czystego dochodu około 570 rubelków—to zawsze nie szpetna sumka! Cały dochód z pierwszego przedstawienia przeznaczony został wyłącznie na szpital Św. Józefa, z drugiego zaś na pokrycie długów, z budowy teatru pochodzących.

Apropos muszę wzmiankować, iż urządzenie kilku jeszcze ławek i parę tuzinów parketowych krzeseł bardzo przydałoby się dla naszego teatru; pożyczając masę krzeseł na każde przedstawienie, jestto zarazem wielka niedogodność i nieprzyjemność dla strony wypożyczającej. Mógłby natenczas być zdjętym planik porządku miejsce w teatrze i umieszczony w restauracyi lub cukierni, w których bileta są sprzedawane, wszakże podobne wygody praktykują się wszędzie i dla publiczności pożytecznie działają. Funduszu nie potrzeba do tego wielkiego, i nareszcie: gdy starczyło nam na wybudowanie stałego teatru czyli... na ryby, powinno także starczyć na ławki i krzeseła czyli... na pieprz.

Maksymilian Kempński.

ROZMAJTOŚCI.

— W ogrodzie zoologicznym londyńskim „Regents Parku“ ogromny nosorożec znienacka rzucił się na swych dwóch stróżów. Pomieszczenie nosorożca składa się z kilku ogromnych klatek, wychodzących na dość obszerny dziedziniec. Thompson i Godfrey, dwaj stróże, obmiatali dziedziniec, gdy nagle straszny zwierzę rzucił się na nich i powaliwszy obu, zaczął gnieść pod nogami. Scott, pomocnik stróża, pośpieszył im na pomoc, i uderzeniem bata w oko nosorożca odpędził go. Jeden z kątów klatki był oddzielony kratą. Scott wepchnął tam obu stróżów, lecz nieszczęśliwy Godfrey padł bez czucia i głowa jego wysunęła się do klatki. Nosorożec znów rzucił się na niego. Scott mający tylko bat w rękę zmusił nosorożca do oddalenia się od ofiary. Kiedy zaś Godfrey padł powtórnie, wówczas nosorożec, uderzeniem roga, zdarł

mu ciało z nogi do samego kolana tak, iż okazała się kość. Scottowi jednak udało się wydobyć ludzi z klatki. Godfrey ucierniał tak mocno, że prawie nie ma nadziei aby wyzdrowiał. Tomson także niebezpiecznie jest raniony. Jeden Scott pozostał cały i nieskaleczony. Człowiek ten jest nadzwyczaj małego wzrostu, lecz bardzo krzepki i odważny, i posiada, jak widać godną uwagi przytomność umysłu.

— Z Jass piszą o następnym trudnym do uwierzenia wypadku: 17 (29) listopada otwarto został ruch na nowej linii drogi żelaznej od Piteszti do Krossowa. Na połowie drogi maszynista dostrzegł tłum włościan, stojących na relsach i dających znać krzykami i ruchami, aby pociąg zatrzymał się. Sądząc, że droga zepsuta maszynista zatrzymał pociąg, a wteż samej chwili, pasażerowie, którzy się wychyli-li z okien, powitani zostali kulami. Zabito na miejscu trzech z nich i maszynistę, a mnóstwo osób zostało ciężko poranionych. Tłum zbrojnych włościan rzucił się wtedy na pociąg, zacieklemi krzykami: „nie chcemy dróg żelaznych, i bez tego już jesteśmy nieszczęśliwi!“ i zaczęli rąbać wagony. Byli to woźnice, którzy lękają się, iż skutkiem zbudowania drogi pozbawieni będą kawałka chleba. Ruch na tej linii powstrzymał, lecz ze strony władz dotychczas jeszcze nie przedsięwzięto żadnych środków, dla zapewnienia bezpieczeństwa ruchu.

— Sztab jeneralny pruski wydał na widok publiczny przegląd statystyczny *linij telegraficznych całej kuli ziemskiej*. Okazuje się, iż zajmują one przestrzeń 576,800 kilometrów, na które wyszło 1.661,000 kilometrów drutu elektrycznego. Linije podwodne mają 84,000 kilometrów. Liczba biur telegraficznych wynosi 26,000; największa ilość (5,600) przypada na udział Anglii. Średnia cyfra wyprawianych corocznie depesz, za ostatnie trzy lata, jest 71 milionów.

— W d. 19 listopada skutkiem oberwania się śniegów, czyli tak zwanej ławiny, dziewięć osób znalazło śmierć na górze S-go Bernarda. W tej liczbie dwóch zakonników, pięciu robotników, i dwóch służących klasztoru. Jeden tylko pies z owej sławnej rasy, służącej do ratowania zbłąkanych i zasypanych w śniegu podróżnych, zdołał wygrzebać się, i pokaleczony, powrotem swoim do klasztoru zwiastował straszną nowinę.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. J. Niewęgl, w Żytomierzu. List komunikujemy wydawcy „Wieku“ P. Noskowskemu, z prośbą aby udzielił Szanownemu Panu wiadomość żadaną.

P. Fabijanowi Dmiszew, w Mińsku gub. Zwłoka w wydawnictwie „Biblijoteki Domowej“ powstała nie z naszej winy. Wkrótce rozpoczniemy wysyłanie dalszych tomów.

P. Józefowi Struś, w Złotoustowie gub. Ufimskiej. Spełnimy żądanie w jak najkrótszym czasie.

P. Julijanowi Przygodz, w Stawiszczach. Przedpła na wydawnictwo p. t. „Wychowanie Domo-we“ w zupełności opłacona i nie nam się nie należy. Przerwa nie z naszej winy, wkrótce dalsze tomy zaczniemy wysyłać Panu.

Pani Teofili Jastrzęb, w Woronowszczyźnie. Bra-kujący N. 44 Opiekuna posyłamy powtórnie.

P. Kazim. Konopack, w Kijowie. List odebrany 6/18 Grudnia, numery wszystkie wysłane podług poprzedniego adresu, oprócz ostatniego (52) który odbierzesz pan w Kijowie.